

Bakuła, Leszek

Ze wspomnień ostrołęckich

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 8, 210-217

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZE WSPOMNIENIŃ OSTROŁĘCKICH

W roku 1950 pracowałem w Miejskim Domu Kultury. Był on wtedy tam, gdzie jest obecnie, przy ul. T. Kościuszki. Tę pracę załatwił mi przewodniczący Zarządu Powiatowego Związku Młodzieży Polskiej, Majorek. Miałem stanowisko instruktora kulturalno-oświatowego. Przychodziłem do pracy o godzinie piętnastej, a kończyłem ją o godzinie dwudziestej drugiej. Utrzymywałem w ten sposób siebie i chorą matkę, niezdolną już do pracy fizycznej, którą wykonywała po śmierci mojego dziadka, czyli od roku 1935. Odtąd żyliśmy bardzo biednie, a mieszkaliśmy przeważnie na strychach, a nawet przez pewien czas w piwnicy, koło kina „Uśmiech”. W czasie okupacji mieszkaliśmy razem z moją ciotką Stasią i jej synem Marianem, w domu państwa Barcikowskich, przy ulicy Goworowskiej, tuż przy małej dzielnicy żydowskiej, która została przez Niemców spalona, po wypędzeniu stamtąd Żydów i wywiezieniu ich do obozów. W 1946 roku zamieszkaliśmy w domu państwa Niewiarowskich przy ulicy Gomulickiego. Tego domu już nie ma. Stał tuż przy budynku, bliżej ulicy 11 Listopada. Kolegowałem się ze Stanisławem Niewiarowskim, który był w moim wieku. W murowanej oficynie, stojącej w podwórku państwa Niewiarowskich, mieszkali państwo Zaorscy. Ich syn, Janusz Zaorski był hufcowym hufca ostrołęckiego. Do 1949 roku byłem harcerzem, nawet drużynowym, w szkolnej drużynie. Przed wyjazdem państwa Zaorskich, Janusz mianował mnie hufcowym, ale była to już nominacja spóźniona, a ja czułem się za stary w harcerstwie, miałem dwadzieścia lat w 1950 roku. Harcerstwo zaczęło zmieniać, odcinać od tradycji przedwojennych.

Wiosną 1948 roku poznałem Krzysztofa Brodowskiego, który mnie wciągnął do OMTUR-u. W tymże roku brałem udział w zlocie zjednoczeniowym organizacji młodzieżowych ZMW, OMTUR, „Wi-ci” w Warszawie. Po zjednoczeniu organizacji młodzieżowych, z om-turowca, stałem się zetempowcem. W szkolnym kole ZMP wybrano mnie na funkcję przewodniczącego koła ZMP w ogólniaku. W tej szkole uczyłem się w latach 1948–1951, do matury, którą zdałem, ze

średnim wynikiem dobrym. Moje egzaminy maturalne przebigały dość dramatycznie i w niczym mi nie pomogło to, że jestem przewodniczącym szkolnego koła ZMP. Zupełna większość uczniów klas najstarszych należała do ZMP. Członkiem tej organizacji był także Dionizy Maliszewski. W latach 1950–51 on był w klasach Xa, XIa, a ja odpowiednio w Xb, XIb. Między mną a Dionizym Maliszewskim była serdeczna i trwała przyjaźń, trwająca aż do jego śmierci. Pamiętam takie zdarzenie. Przewróciłem się na trotuarze i rozciąłem sobie mocno skórę na kolanie. Dyziek zaprowadził mnie do lekarza, który zrobił mi zastrzyk przeciwțęcowy. Przyszliśmy wieczorem do pustego Domu Kultury i tu złapały mnie ostre bóle, w rękach, w nogach i w krzyżu. Widziałem, że Dyziek był bardzo przejęty i zmartwiony, bo nie mogłem się powstrzymać od jęków. Kiedy się bóle uspokoiły, Dyziek odprowadził mnie do domu, a po drodze uzgodniliśmy, że nie powie o tym mojej matce. Ciągłe się bałem o to, żeby jej cymś nie zmartwić.

W roku 1950 zostałem wyznaczony do wygłoszenia przemówienia w imieniu młodzieży ZMP, na Dużym Rynku, wtedy nazwanym Plac 3 Maja, z okazji święta 1 Maja. Przemówienie wygłaszałem z trybuny obitej czerwonym płótnem. Nie mogę dziś odtworzyć treści tego przemówienia, które sam napisałem, a sprawdził je przewodniczący zarządu powiatowego ZMP. Na pewno potępiałem w nim imperializm amerykański i chwaliłem obóz socjalizmu. Pamiętam, że przytoczyłem znane słowa: *veni, vidi... nici*. Chyba w ten sposób dawałem do zrozumienia imperialistom, że nici z ich planów. Potem Dionizy Maliszewski też przemawiał na tym rynku z okazji święta 22 Lipca. Nie pamiętam treści jego wystąpienia, ale przecież też musiało w nim być pozytywnie o socjalizmie a źle o imperializmie. Widziałem go, jak stał na podstawie balkonu bez balustrady. Ten balkon był na pierwszym piętrze środkowej kamienicy z szeregu idącym od ratusza. Dionizy wyglądał okazale i nawet gestykułował rękami, a ja byłem dumny, że mój przyjaciel tak pięknie przemawia. Kiedyś, po latach, spotykaliśmy się co roku, przez kilka lat, na Kurpiowskich Dniach Literatury i wspominaliśmy dawne bohaterskie czasy szkolne.

Z Dionizym Maliszewskim rywalizowaliśmy jeszcze inaczej. Było wtedy w naszej budzie, czyli w ogólniaku, któremu w 1950 roku nadano nazwę Szkoła Średnia Ogólnokształcąca im. Kr. St. Leszczyńskiego, dwóch poetów. To znaczy Dionizy Maliszewski i ja. Obaj

mieliśmy gazetki szkolne, każdy swoją. Wisiały one naprzeciwko siebie, na ścianach w korytarzu, na pierwszym piętrze. Moja nazywała się „Nasza Gazetka” i była jakby organem prasowym koła ZMP. Jak nazywała się gazetka Dyżka, nie pamiętam. W większości teksty pisywaliśmy my, rzadziej inni koledzy czy koleżanki. Przyczepiało się teksty pisane ręcznie na arkusikach papieru pinezkami do tablic z dykty. Dawaliśmy do gazetek artykułiki i wiersze. Jego gazetka była jakby opozycyjna. Sprzeczaliśmy się ze sobą w tych tekstach, ale bardzo kurtuazyjnie, bez złośliwości. Ja rymowałem: Dyziu-kiziu, a on: Leszek-mieszek.

Pamiętam jednak, że ogłosiłem spory artykuł o „Balladynie” J. Słowackiego, w którym starałem się wytłumaczyć – samą Balladynę. Już wtedy dochodziłem do wniosku, że życiem rządzą wyłącznie konieczności, a Balladyna właśnie im musiała podlegać. Dionizy był bezwzględny w ocenie Balladyny i dla niego była ona zła od początku do końca. Był przekonany, że zło tkwiło w niej od młodości, czyli było genetycznie uwarunkowane. A więc wychodziło też na to, że działała na zasadzie koniecznej. Byłem niezły, jak na swoje możliwości, czytany w marksizmie-leninizmie. Przeczytałem nie tylko historię WKPb J. Stalina i „Manifest Komunistyczny” Marksa i Engelsa, ale i „Anty-Duhring” Engelsa. Książki te pożyczała mi pewna koleżanka z klasy, bo w bibliotece szkolnej jeszcze ich nie było. Swego czasu przekazała mi do przeczytania książkę Jankowskiego (imienia nie pamiętam) „Grzechy papieżstwa rzymskiego”. Z tej książki dowiedziałem się o zbrodniach, przestępstwach, na kolejnych dworach papieskich i biskupich we Włoszech i gdzieindziej. Od tej książki zaczęło się moje „niebo w płomieniach”. Książkę Jana Parandowskiego pod tym tytułem też już przeczytałem.

Jednocześnie czytywałem, często po nocach, dzieła Józefa Piłsudskiego w kilkunastu tomach, zabrane od cioci Stasi, a pozostałe po jej mężu, dla mnie wujku Olku, malarzu pokojowym. To może się wydać dziwne, a nawet ucieszne, ale ciągle rozmyślałem nad tym, jak mogło w czasach niewyobrażalnie dawnych przejść od materii nieożywionej do materii ożywionej, czyli do życia. Pisałem długo na ten temat rozprawę i bardzo żałuję, że się nie zachowała. Spytałem pewnego razu tę koleżankę, skąd bierze takie książki? Wyznała mi szczerze, że zapisała się do PZPR, a w komitecie powiatowym partii mają biblioteczkę marksizmu-leninizmu, a ona z niej pożyczka. Byłem zdziwiony,

że wciągają do partii uczniów, ale ona też miała chyba dwadzieścia lat. Nie przypominam sobie, żeby Dionizy miał jakieś zainteresowania religioznawstwem czy filozofią. On był bardziej praktyczny, bardziej pragmatyczny, niż ja. Dla niego najważniejsze było działanie.

Już we wrześniu 1950 roku nie było w szkole katechety, księdza Oldakowskiego. Był to dość wysoki i nawet przystojny ksiądz. Lubiłem na lekcjach zadawać mu tak zwane podchwytliwe pytania. Nawet żartowałem po uczniowsku: skoro Bóg jest wszechmocny, to dlaczego nie może stworzyć takiego kamienia, którego by nie mógł podnieść? Może czy nie może? Ksiądz Oldakowski z uśmiechem tłumaczył, że to jest sprzeczność zawarta z góry w samym pytaniu. Na świadectwie ukończenia klasy X miałem mimo tych sporów z księdzem – bardzo dobry. Zapytany kiedyś: dlaczego?, odpowiedział, że ocenia wiedzę o religii i Bogu, a nie to czy wierzę czy też nie.

Jesienią roku 1950 poznałem, już absolwenta szkoły, Bonawenturę Chojnackiego. Jego ojciec był burmistrzem miasta. Odkąd, do którego roku, nie wiedziałem. Przechwalał się przede mną, że jest już zakwalifikowany na wyjazd do Moskwy, na studia wyższe. Pamiętam, że w sposób nawet natrętny, zadawał mi liczne pytania z zakresu polityki, marksizmu i... filozofii. Nie chciałem go pytać, czy należy do partii, bo to było oczywiste, a nie mogłem pytać o to, czy jest współpracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa. Jego ojciec na pewno musiał być partyjny i budzić u władz wielkie zaufanie, tak jak i jego syn, którego nazywano potocznie – Bonek.

W roku szkolnym 1950/51 do szkoły przybyło dwoje uczniów z Warszawy. On nazywał się Henschel (może Henszel?), jej nazwiska i imienia nie pamiętam. Oboje byli w klasie z Maliszewskim. Dziwiłem się, a zapewne i inni, że oni chcieli porzucić szkołę (może szkoły) w Warszawie, gdzie mieszkali ich rodzice, choć o nich nic nie wiedziałem. A tymczasem... wybuchła w szkole bomba. Niektórzy nasi koledzy zostali aresztowani. Za co?

Założyli tajną organizację pod nazwą Młodzi Socjaliści. Dionizy Maliszewski był szefem tej organizacji i jej niejako założycielem. Członkami byli m.in., także Henschel i jego koleżanka. Aresztowani koledzy, naturalnie, nie przystąpili do matury. Był rok 1951. Na początku tego roku zwolniłem się z pracy w Miejskim Domu Kultury. Musiałem orać matematykę i fizykę, bo z tych przedmiotów byłem zawsze słaby. Naturalnie także historię i podręcznik „Nauka o Polsce

i świecie współczesnym”. Był okropnie nudny. Pełno w nim dat, nazwisk, kongresów, plenów partii, dużo o ustroju socjalistycznym, głównie w ZSRR, o tym też, co to jest demokracja ludowa i jak daleko jeszcze nam do ustroju socjalistycznego. Także o potrzebie kolektywizacji na wzór radziecki.

Po pewnym czasie od aresztowania kolegów, dyrektor zawołał mnie do swego gabinetu. To był nowy dyrektor, bo poprzedni, pan mgr Henryk Wierzchowski, został zwolniony i przeniesiony do Warszawy. Ten nowy był dość niskim mężczyzną, nosił okulary, podobnie jak Wierzchowski, ale inne. Mało mówił, za to częściej zaglądał do klasy, wywoływał nauczycieli z lekcji. Wszystko w szkole stało się jakieś tajemnicze i ponure. Dyrektor aktualny powiedział mi, że mam przemówić na zebraniu uczniów klas najstarszych, to znaczy klas dziesiątych i jedenastych. Wyraźnie i ostro nakazał mi, żebym potępił tych, co założyli antysocjalistyczną organizację tajną, co jest niezgodne z polityką partii i państwa oraz z regulaminem szkoły. Milczałem wtedy. Przemówiłem, jak to się mówi – z marszu, bez uprzedniego przemyślenia i przygotowania. Nie potępiłem aresztowanych kolegów, nie użyłem słów, że ich potępiam. Jako przewodniczący koła szkolnego ZMP, miałem taki właśnie obowiązek – potępić ich zupełnie i wyraźnie. Wyraziłem tylko żal, że nie przystąpią do matury, że byli lekkomyślni. Po moim przemówieniu dyrektor nie wzywał mnie na rozmowę, ale potem widziałem, że jest na mnie wściekły. Narobił mi ciężkich kłopotów przy egzaminie z nauki o Polsce i świecie współczesnym na maturze. Tylko on jeden egzaminował sam przy swoim stoliku, w innych komisjach egzaminacyjnych było zawsze trzy osoby, troje profesorów, chyba że któryś wyszedł na krótko. Ale to opisałem w innym szkicu-wspomnieniach: O moich nauczycielach i kolegach-uczniach.

Na Kurpiowskich Dniach Literatury, organizowanych przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną w Ostrołęce, miałem spotkanie autorskie także w samym mieście. Byłem już pisarzem, nie tylko członkiem Związku Literatów Polskich, w oddziale koszalińskim. Miałem wydane: „Leluje” – tomik wierszy, debiut, w 1968 r., „Czerwony bór” – powieść 1971, „Połów horyzontu” – tomik wierszy, 1972. Nie pamiętam, czy już wtedy wydano mi „Czarny bór”, 1974. Spotkanie odbyło się w sali Domu Rzemiosła, przy ulicy Goworowskiej, blisko istniejącego przed wojną Małego Rynku. Na spotkanie

przybyła pani Zofia Rogalewicz, moja lubiana polonistka, która też mnie lubiła i ceniła, jeszcze jako ucznia. Po odczytaniu przeze mnie swoich wierszy, zabrała głos. Niewiele mówiła o poezji, a nawet o moich wierszach. Powiedziała coś, czego się nie spodziewałem. Krótko wspomniawszy owe aresztowania uczniów, wyraźnie powiedziała, że ja nie potępiłem swych kolegów, na zebraniu w szkole, choć jako przewodniczący koła ZMP, mogłem, a nawet pewnie powinienem to uczynić. Byłem niezwykle uradowany jej wystąpieniem, za które podziękowałem. Przecież nawet wiedząc, jak było, mogła tego nie powiedzieć.

Może na tych, może na kolejnych Kurpiowskich Dniach Literatury spotkał mnie kolega ze szkoły. Imienia i nazwiska nie mogę sobie przypomnieć. Zaproponował dość dziwne miejsce na rozmowę, bo przy żelaznej pompie, jaka jeszcze wtedy stała w pobliżu straży pożarnej. Z własnej inicjatywy opowiedział mi, jak to było z aresztowaniem naszych kolegów. Z mety ujawnił, że już wtedy, jako uczeń, był współpracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa. Ja już niewiele rzeczom na tym świecie się dziwiłem. Oto jego opowieść: Urząd Bezpieczeństwa wiedział o istnieniu tajnej organizacji wśród uczniów ogólniaka, ale chciał mieć w nią bezpośredni wgląd. Sprowadzono więc do Ostrołęki i do naszej szkoły ucznia Henschela i jego koleżankę, z Warszawy. Mieszkali oni na stancjach i mieli za zadanie spenetrować środowisko szkolne i o wszystkim donosić na UB. Tak też było. Przez celowe, szeptane gadanie przeciwko socjalizmowi i Polsce Ludowej, zaskarbili sobie zaufanie kolegów z już istniejącej tajnej organizacji, zwiedli tym także Dionizego Maliszewskiego. Zdzisław Załuska, Dionizy Maliszewski, Stanisław Mierzejewski, Jeruzalski i kilkoro innych, w tym Henschel i jego koleżanka, założyli teatrzyk szkolny. Przygotowali do wystawienia „Balladynę” J. Słowackiego. Wiedziałem, że rolę Harfiarza grał Zdzisław Załuska. Kto grał jakie role w tej sztuce, nie rozmawialiśmy. Pewnej soboty, czy też niedzieli, pojechali już w odpowiednich kostiumach na stację Kaczyny autobusem, gdzie dali to przedstawienie. Mieli ze sobą nawet prawdziwą harfę, którą sam widziałem w szkole. Skąd ją pożyczyci, nie wiedziałem i nadal nie wiem, to przecież drogi instrument.

Jechali z powrotem uradowani, że przedstawienie się udało, śpiewali w autobusie piosenki harcerskie i zetempowskie. Powiedział mi, że śpiewali: My ZeteMpe!, My ZeteMpe! Reakcji nie boimy się!.

Przyjechali do Ostrołęki i tu nagle... autobus (autokar) stanął tu przy budynku Urzędu Bezpieczeństwa. Wszystkich ubowcy spędzili za ogrodzenie, tuż przed budynkiem. Tam zwolniono wszystkie dziewczyny i tych chłopców, którzy im byli niepotrzebni. Członków tajnej organizacji aresztowano i wprowadzono do budynku. Naturalnie, aresztowano także ucznia Henschela i jego koleżankę, czarnowłosą i brązowooką dziewczynę. Mimo dziewczęcej buzi, była to już dorosła kobieta, niska, dość krępa. Henschel natomiast był średnio wysokim chłopakiem, też miał czarne włosy.

Opowiadający mi to, dodał wyraźnie, że to byli Żydzi z Warszawy, gdzie także rozpracowywali podobne tajne organizacje szkolne. Czy można wierzyć temu byłemu mojemu koledze, uczniowi, już wtedy współpracującemu z Urzędem Bezpieczeństwa? Może tylko Zdzisław Żaluska i inni wtedy aresztowani mogliby coś w tej relacji sprostować lub dodać. Ja podaję ją tak, jak słyszałem i dobrze zapamiętałem. Nie ma powodów, żeby temu opowiadającemu nie wierzyć. Nie miał on żadnego interesu, żeby mnie okłamywać, czy coś zmyślać. To były jeszcze lata siedemdziesiąte, a on zapewne już awansował, może nawet na oficera SB. Wiedział, że ja o tym nie będę rozповідаł, a i tego najpewniej się nie bał, bo co by mógł mu kto wtedy zrobić?! Sprawa była już odległa w czasie przeszłym, Dionizy miał stanowisko kierownika pięknego i dużego domu kultury, Jeruzalski ukończył studia medyczne i był wtedy lekarzem w szpitalu miejskim w Ostrołęce, Zdzisław Żaluska też ukończył studia wyższe i był kierownikiem księgarni przy ulicy Kościuszki w Ostrołęce.

Henschel i jego koleżanka zniknęli z pola widzenia wszystkich. Bonawentura Chojnacki pracował (nie wiem ile czasu i kiedy) w ambasadzie polskiej w Moskwie. Wszystko się rozmyło i ludzie pozapominali, poszkodowani zaleczyli rany. Dionizy Maliszewski odnosił duże sukcesy w pracy jako kierownik Domu Kultury w Wojciechowicach, był też współorganizatorem Kurpiowskich Dni Literatury, pomagał wydawać młodym pisarzom, choć często już starszym wiekiem, arkusze poetyckie, tomiki wierszy. Zabił się na szosie jadąc swym małym Fiatem. Byłem na jego pogrzebie, zawiadomiony telegramem przez jego żonę, Irenę.

Jako poeta zadebiutował tomikiem wierszy „Rzeźbione w bursztynie” (LSW, W-wa, 1967). Następnie wydał: „Ballady i groteski” (Inst. Wydaw. CRZZ, 1975), „Czarne niezapominajki” (Iskry, 1978),

„Przydroża” (Olsztyn, 1980), „Biały głos” (Krajowa Agencja Wydawnicza, 1986). Ponadto jego wiersze znajdują się w kilku almanachach krajowych i lokalnych. Zawsze uważałem Dionizego Maliszewskiego za bardzo zdolnego poetę, który mógłby mieć dużo większe osiągnięcia w poezji, ale musiał większość swego czasu i sił poświęcać pracy pozaliterackiej, zarabiać na utrzymanie siebie i rodziny. Jego żona stale pracowała też jako nauczycielka. Ogłosiłem w „Tygodniku Kulturalnym” recenzję z jego tomiku „Biały głos”, w której bez laurkowego tonu, napisałem o wysokiej wartości jego wierszy. Na wszystkich posiadanych jego tomikach mam dedykacje Dionizego, bardzo serdeczne. Pisywaliśmy do siebie często.

Mam kilkadziesiąt listów od Dionizego Maliszewskiego. Część ich, a z niektórych fragmenty, warto by opublikować. Pewnego razu, na Kurpiowskich Dniach Literatury w Ostrołęce, spytałem go: dlaczego nie próbowaliście wciągnąć mnie do tej tajnej organizacji? Odpowiedział, że były takie propozycje. Spytałem: Henschel. Machnął ręką, a ja wiedziałem, co o tym sądzić. Zresztą może propozycje padły od kogoś innego, ale tego nie dociekałem. Dionizy powiedział mi, że sprzeciwił się wciąganiu mnie do tej tajnej organizacji. Powiedział wtedy: on ma na utrzymaniu chorą matkę, a w razie wyspy, zostanie też aresztowany i wtedy jego matka zostanie bez środków do życia i bez opieki.

Dionizy Maliszewski uchronił mnie od trudnej próby. W przypadku podania mi propozycji wstąpienia do tej tajnej organizacji, mogłem do niej wstąpić, albo odmówić i przyrzec, że nigdzie nie doniosę. Nie wiadomo, czy to zadowalałoby członków tej organizacji, że nie doniosę. Przypominając sobie siebie, takiego, jakim wtedy byłem, na pewno bym nie doniósł i nikomu nie powiedział. Ale nie wiadomo, czy w toku śledztwa, ktoś by nie powiedział, że ja wiedziałem o tajnej organizacji. Wtedy zostałbym również aresztowany. Dionizy Maliszewski wyszedł na tym najgorzej. Jako główny obwiniony otrzymał wyrok: dwa lata pracy w kopalni węgla. Potem ciągle słabował na serce. Dionizy Maliszewski był dobrym poetą i bardzo szlachetnym człowiekiem.